

Kobieta zdolna do wszystkiego

18 lipca 2010

Straciłeś zdrowie, robotę, dręczy cię komornik i nieopłacone od miesięcy rachunki? Pomoc nie nadejdzie.

Początki były miłe. Bożena Nikiciuk była łaską o nienagannej figurze, miłośniczką literatury romańskiej i wzorową studentką takiej samej filologii. Prawda, było to za głębokiej komuny, ale przecież nie jej wina. Studia skończyła z wyróżnieniem. W nagrodę dostała staż w Instytucie Paula Valery'ego w Montpellier ufundowany przez ambasadę Francji. Na studiach zaczęła dorabiać jako pilot wycieczek zagranicznych, zdała państwowy egzamin tej branży. 10 lat praktyki i współpraca z największymi biurami polskimi i zagranicznymi. Całkiem nieźle.

Potem wyszła za mąż. Potem zaczęło szwankować zdrowie. Potem leczył ją konował albo weterynarz, nie pamięta już dziś dokładnie. Trudno jej natomiast zapomnieć, że dzięki bezmyślnej kuracji zamienił wiotką jak trzcina dziewczeczkę o rozmiarze 38 w kaszalota o rozmiarze 56.

Dzieci nie ma i nie będzie miała. Przysposobiła zatem z mężem dwójkę. To przecież nic takiego, myślała, odbierając w 1990 r. dyplom filologa roku i startując z doskonałą znajomością francuskiego, angielskiego, bułgarskiego i rosyjskiego. Bez problemów znalazła robotę w liceum jako nauczycielka francuskiego. Tam przepracowała 8 lat, dochodząc do stopnia nauczyciela mianowanego. Pensja nauczycielska była dość chudziutka, więc pełna energii wykładała jednocześnie podstawy ruchu turystycznego (pamiętacie o egzaminie państwowym na pilota wycieczek zagranicznych?) w Pomaturalnym Studium Turystycznym i była lektorem francuskiego na Uniwersytecie Śląskim.

Przy okazji niejako podjęła naukę w Międzynarodowej Szkole Nauk Politycznych prowadzonej wspólnie przez Uniwersytet

Śląski, Uniwersytet w Bordeaux (Francja) i Uniwersytet w Liege (Belgia). Akurat tej nie skończyła, bowiem problemy osobiste – śmierć obojga rodziców – przeszkodziły. Ale poza tym nie mogła narzekać – była robota, perspektywy i przyszłość w kolorze różowym.

Bank się łąsił, żeby tak perspektywiczny pracownik zechciał wziąć kredycik na 40 tysięcy, to wzięła. Mieszkanie – własnościowe. Samochód – nówka. Dzieci – ubrane i pachnące. Życie rodzinne – jaśniejące.

Pierwsze potknięcie było w roku 1997. Osiedliła się w Pszczynie, miasteczku pięknym i z nieco zapyziałą atmosferą. Tutaj nikt nie potrzebował jej umiejętności gadania w języku trudnym i niemodnym. Osiągnęła więc sukcesy w logistyce w dużej firmie papierniczej. Zarządzała flotą ciężarówek na całą Polskę. W małym palcu miała ekspedycje ludzi i towarów, negocjacje i zarządzanie ludźmi.

Potem była specjalistką do spraw funduszy europejskich przy Urzędzie Marszałkowskim. Potem ponownie logistyka w firmie Lotos. Potem ją wyrzucili.

Nasze państwo ma wyspecjalizowane instytucje, które pomagają w takich wypadkach. Setki urzędników nie śpią, nie jedzą, nie dosypiają, tylko głowią się, jak takich fachowców przywrócić rynkowi pracy. Pierwsze, co powinna zrobić, to pójść i się zarejestrować w Urzędzie Pracy. Ale straciłaby wtedy miesięczną odprawę. Nie opłaca się. Siedziała w domu i robiła to, co radzą wszystkie poradniki – walczyła. Nie traciła pogody ducha. Chciała zaprezentować się światu, uważając, że potrzeba mu takich fachowców. Wysłała 300 CV. Nikt, dosłownie nikt, nie zaprosił jej choćby na rozmowę wstępną.

Potem zachorowała na depresję i zmieniła się w warzywo. Nie chciało jej się utrzymać pozycji pionowej, a co dopiero gadać o wizycie w Urzędzie Pracy.

Komisja lekarska. Pani doktor rzuciła okiem na dokumenty:

Robić się nie chce, co? Pokazała wysłane CV. Pani doktor przeprosiła i zaproponowała sanatorium. To przysługuje bezrobotnym. Odmówiła, bo w domu dwoje dzieci. Mąż bez roboty, ona bez roboty, dzieci nie mają co żreć. Lepiej więc aktywnie poszukiwać pracy, jak radzą wszędzie mądre książki o wydobywaniu się z bezrobocia.

Napisała projekt programu wsparcia unijnego. Bardzo ładny, pochwalono panią Bożenę. Ale pani jest za młoda – ledwie 43 lata. Żeby tak 45, aaaa, to zupełnie co innego.

Zarejestrowała się w końcu jako bezrobotna. Były jakieś pieniądze, ale nie tyle, żeby utrzymać rodzinę. Poszła do MOPS. Nie przysługuje zasiłek, bo pani Bożena ma mieszkanie własnościowe, gdyby tak sprzedała, to może coś dałoby się zrobić. Sprzedała. Razem z samochodem. Przeniosła się do komunalnego mieszkania po zmarłej mamie. Syf, grzyb i ruina. Pieniędźmi ze sprzedaży mieszkania spłaciła część kredytu, długi za media, długi u znajomych i remont dziury, w której przyszło jej mieszkać. Remont pochłonął całą kasę.

Złożyła papiery do szkoły, jedynej z językiem francuskim. Świetne, powiedzieli, ale nie znamy pani, więc przykro nam. Ma nadwagę i nadciśnienie. Bierze leki, najtańsze oczywiście, słabo więc je toleruje. Przez pół roku miała niedowład prawej części ciała, bo od trzymania głowy w prawo, tam, gdzie stał komputer w jej ostatniej robocie, coś się stało w kręgosłupie szyjnym. Konieczna rehabilitacja, powiedział lekarz. Jeśli za darmo, najwcześniej w 2016 r. Na razie niech bierze leki rozkurczowe. Powinna się leczyć z otyłości. Za darmo – marzenie ściętej głowy. Na razie lekarz przepisał kurację na odwodnienie, choć to leczenie skutków, a nie przyczyny.

Była potrzeba wizyty u endokrynologa. Kiedy możliwa wizyta? Pani przyjedzie, to zobaczymy. To kosztuje, może lepiej telefonicznie. Jutro. Jutro nie było już wolnych numerków na najbliższe miesiące.

Córka powinna mieć aparat na zęby. Co za szczęście, że skończyła 12 lat, przysługuje jej bezpłatna wizyta u ortodonta i aparat. Najbliższy termin – rok 2016. Problem był też w terminach otrzymania ewentualnej pomocy. Żeby się zarejestrować w Urzędzie Pracy, trzeba mieć świadectwo pracy. To dostaje się po miesiącu, a do niego trzeba dołączyć świadectwo, że jest się zdrowym. Pierwszy zasiłek wpłynie po 90 dniach od rejestracji. Przez 3 miesiące można pić wodę, organizm wytrzyma.

Gdy była chora, przysługiwał jej zasiłek rehabilitacyjny. Oczywiście po orzeczeniu komisji, która zbiera się niespiesznie. Razem trwa to też około 90 dni. Przez 3 miesiące... patrz wyżej. Trzeba było radzić sobie inaczej.

Najpierw zaczęła mówić wszystkim sąsiadom demonstracyjnie dzień dobry. Zagadywała ich na chodniku, przed sklepem, w autobusie. Zmusiła się do szczerzenia zębów przy każdej okazji do każdego człowieka. W rozmowie lekkim tonem rzucała, że nie ma roboty, ale to żaden problem, to mąż załapał się na nisko płatną i katorżniczą robotę na zlecenie. Na opłacenie czynszu i połowy gazu było. Na resztę nie starczało.

W domu liczyła każdy grosik. Przeliczała opłacalność każdego ruchu w domu i na zewnątrz. Uprać w samej gorącej wodzie czy poczekać, aż wpadnie jakiś grosz i kupić się proszek? Codziennie rozstrzygała strategiczne problemy: czy uzupełnić konto w telefonie, czy może pozwolić sobie na bilet autobusowy? Na obiad wystarczą po dwa kartofle czy może lepiej kartofel i pajda chleba? Poczytać do zmroku czy włączyć żarówkę, to dzieci jednocześnie odrobiją lekcje? Była chodzącym liczydłem.

Opanowała sztukę maskowania się przed bankiem, bo przecież kredyt wciąż do spłacenia. Wie, którądy trzeba wychodzić z klatki, żeby nie spotkać komornika. I wciąż narzucała się sąsiadom. Bez nachalności, ale stale. Ludzie kochają mówić o problemach. Każdy ma swoje – jednemu żal ukochanej psiny,

która musi czekać, aż pan wróci, a on ma straszny zapieprz w pracy. Inny wciąż nie ma czasu na takie drobiazgi jak zakupy, a wraca późno. Proponowała pomoc w zakupach i wyprowadzaniu psa.

Dzień rozpoczynała od wędrówki do szkoły obwieszona gronem dzieci sąsiadów. Psy na całym osiedlu szczały ze szczęścia na jej widok, bo kojarzyła im się ze spacerem. Za zakupy brała około 10 procent, a i tak się klientom opłacało, bo stała się mistrzem w wyszukiwaniu obniżek, promocji i wyprzedaży. Dzień rozpoczynała od lektur ulotek reklamowych i słuchania reklam w lokalnym radiu. Potem przeliczanie z listami zakupów w rękę: gdzie się dzisiaj opłaca. I bezwzględna uczciwość, rozliczała się co do grosza z paragonem w rękę. Sąsiedzi sami teraz do niej lecą.

Do pomocy wzięła kolegę rencistę – 600 zł na rodzinę. Interes się kręci, choć nie są to kwoty, które pozwalają na godne życie, ale też przestała opadać na dno. Może z czasem nawet zbiera na lekarza.

Podatki? Komu, państwu? Nigdy w życiu. Sama sobie poradziła, sama będzie konsumować owoce swojej roboty. Napisali poradnik, jak wychodzili z wykluczenia. Nic nadzwyczajnego, 36 stron dobrych rad, które każdy i tak zna. Mało konkretów, dużo dobrych słów. Pomyśleli, że może to się komuś przyda, może ktoś to od nich choćby kupi albo przynajmniej rozreklamuje. Wysłali gdzie się tylko dało propozycje współpracy – do mediów i polityków. Zazwyczaj nie otrzymywali odpowiedzi lub dostawali zdawkowe z propozycją, żeby wysłali wersję elektroniczną. Gdy mówili, że woleliby spotkanie połączone z prezentacją poradnika, kontakt się urywał. Jedynie dziennikarze TVP z programu „Pytanie na śniadanie” wyrazili wolę zaproszenia ich do studia, ale potem przestali dzwonić. Politycy w najlepszym wypadku przysyłały swoje materiały reklamowe.

To optymistyczne – mimo państwa ludzie poradzili sobie w

beznadziejnej sytuacji. To pesymistyczne – mimo państwa ludzie poradzili sobie w beznadziejnej sytuacji.

Autor: Maciej Wiśniowski

Źródło: [„Nie” nr 23/2010](#)